Wychodzą we Lwowie we *Wtorek, Czwartek* i *Sobotę*. Prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięcznie 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. — Ryciny mód kwartalnie 1 Złr. 20 kr. Bióro expedycyi w księgarni H. W. Kallenbacha.

# Nowiny



5. Lutego 1856. № 16. Rok trzeci.

## Sierota wielkiego świata.

V.

(Ciąg dalszy).

Hrabina siedziała przed gotowalnią i trzymała w ręku małą figurkę wielkiego Napoleona.

— Muszę ci coś powiedzieć, kochana Milciu, przemówił hrabia, siedzący na szeslągu. Ale... ale, jak że zdrowie Ofelii?

— Od czasu, jak jej ten nieszczęsny malarz dał jakąś miniaturę i powiedział, że to portret jej matki, zamyka się często w swoim pokoju i płacze. Garderobiana mówiła mi, że chce wstąpić do klasztoru. P a u v r e o r p h e l i n e! tak ją kocham, żebym za nią poszła!

— No, no, tego nie trzeba brać na serjo. Każda młoda dziewczyna, gdy chce iść za mąż, to mówi o klasztorze. Obawiam się tylko o to, czy i Ofelii coś podobnego nie lata po głowie. A to by było dla niej prawdziwe nieszczęście.

— A to dla czego?

— Ona już dzisiaj wygląda jak siostra miłosierdzia, a cóż dopiero, gdyby za mąż poszła? Zapłakana, sentymentalna, nie mając prezentacji, jej urodzeniu odpowiedniej, znudziłaby męża w domu swoją czułą muzyką w *b moll*, i zawadzała mu w świecie. Dziwna rzecz, jakby się gdzieś w oficynach chowała!

— Ach, kochany Fredziu, wszystko to ztąd pochodzi że jest sierotą. Nieprowadziła ją matka sercem macierzyńskiem, ale prowadziła ją ręką zapłaconej francuzki.

— Tem dziwniej zkąd się w niej te sentymenta wzięły, bo jużciż przyznasz, że nasze guwernantki wcale sentymentów nie uczą.

— Właśnie dla tego, że jej serce nie mając sposobności wylania się, zamknęło się w samym sobie i własnem życiem karmiło się w swoich marzeniach, tak jak pelikan własnem ciałem karmi swoje biedne pisklęta!...

— Bo i ty coś, Milciu, spiewasz dzisiaj sentymentalnie jak pelikan!

Hrabina na to nic nie odpowiedziała. Przychyliła głowę i poczęła się bawić koronką mantyli. Melancholijny jej wzrok zdawał się mówić: Ja byłam owym pelikanem, i mnie zabrakło pokarmu dla snów mego serca!...

— Otóż wcale z innym interesem przyszedłem do ciebie, rzekł po krótkiem milczeniu hrabia, a zeszliśmy na co innego.

— O czemże chcesz mówić, zapytała hrabina, wypogadzając czoło.

— Od pięciu dni w naszym domu bawi porucznik. Ofiarowałem mu pomieszkanie w pałacu w tym celu, aby mógł prędzej kasztelana wymalować. Prawnika także często gęsto proszę do siebie, bo mi jest w moich interesach potrzebny. No, ten zresztą nie jest wcale natrętny, i zna dobrze swoją pozycją. Nie pcha się tam gdzie nie należy, i jest zadowolony, że zemną w kancelaryi jedno cygaro wypali. Ale co się tyczy porucznika, to musisz panienkom dobry *paternoster* powiedzieć. Jak widzę jest to człowiek z przesadną pretensją, ma o sobie, bóg wie, jak wielkie wyobrażenie i nadzwyczajną naszą grzeczność tłumaczy sobie za przynależną jemu estymę. W pięciu dniach doprowadził do tego, że tak swobodnym jest w naszym salonie, jakby się w wraz z nami wychował. Z pannami tak się spoufalił, jakby był ich najbliższym kuzynem, i tak je czemsić oczarował, że obie się mu na wyścigi przymilają. Jadwiga, roztrzepana jak latawiec, chociaż się wiecznie z nim kłóci i sprzecza, mało się mu na szyję nie rzuci, gdy się na nią skrzywi. A Ofelia słysząc go grającego, tak czule oczyma zawraca, jakby już był jej najtkliwszym kochankiem. Zresztą wczorajszy duet o szarej godzinie wcale mnie się nie podobał. Ofelia, co tak rzadko spiewa nie drożyła się bynajmniej, gdy jej ten duet zaproponował, a jaki jeszcze duet!... *Senza madre, con dolore!...* Odszedłszy z salonu płakała do północy, całując obrazek, co jej dał ten warjat. A Jadwigę aż zazdrość brała, patrząc na tę czułą scenę, i nawet im śród gry przeszkadzała. Zaraz potem, aby się nie gniewał, posłano mu do jego pokoju m e l o d i k o n Ofelji. Do czegoż to doprowadzi? Cóż on sobie o tem wszystkiem myśleć będzie?...

Dzisiaj znowu zastaje u niego w sali całe towarzystwo, a on zamiast pendzla, trzyma w ręku bukiet, który przed chwilą widziałem u Ofelii. Ja się pannom bynajmniej nie dziwię, wychowały się bez ludzi, nie wchodziły w towarzystwa, nie wiedzą jeszcze, jak ludzi od ludzi odróżniać. Do tego porucznik młody, przystojny, gra, śpiewa, maluje, może i gawota tańczy.. a cóż więcej potrzeba, aby kogoś obałamucić? Ja tego bynajmniej nie przypuszczam, bo obie mają za wiele rozsądku, aby swojej pozycji przez jakieś głupstwo nie skompromitować. Ale chodzi tu o to, aby temu porucznikowi nie dać otuchy do większego spoufalenia się, i aby go panny przez ciągłe figle od pracy nie odrywały. Bo szczerze ci mówię, że radbym jak najprędzej pozbyć się takiego towarzystwa.... Ot idą właśnie obie tutaj, powiedz to im kategorycznie. To rzekłszy wyszedł spiesznie.

Hrabina uznała wszystko za słuszne, co tylko jej

małżonek powiedział, a nawet tak się swoją misją przejęła, że wykładając pokornie przed nią stojącym nowicjatkom reguły życia salonowego, używała i słów i gestów prawdziwie tragicznych.

Silne musiało być wrażenie tej mowy. bo w pół godziny potem siedziały obie penitentki w pokoju Ofelii, smutne i osowiałe jak dwie ptaszynki, które niestrawnym opchano pokarmem. Może pierwszy raz dopiero w życiu zmarszczyła Jadwiga czoło na serjo, a jej wiecznie ruchliwe oczka okryły się mgłą zamyślenia. Ofelia siedziała niejakiś czas w milczeniu. W jej oczach malowało się rozżalenie. Po chwili ożywiła się blada jej twarz, a chmurka dumy szlachetnej przebiegła po jej czole. Wziąwszy ze stolika miniaturkę matki rzekła ze łzami:

— O czemuż jej tu niema przy mnie w tej chwili! Jabym przed nią otworzyła serce moje, jej bym się wyspowiadała z grzechów moich, a ona by mi przebaczyła!

— Już też grzechu w tem nie widzę, ozwała się Jadwiga, a mama niesłusznie nas posądza o nieprzyzwoitość. Może być, żeśmy trochę zaśmiało się bawiły, ale powiedz mi droga Felciu, przed kim to się żenować? Oficer i dependent! Dziś tu, jutro ich niema, a gdy przyjedziemy do Lwowa, to ich wcale i znać nie będziemy! Widziałaś, jak się mu prezentowałam po raz pierwszy? W nocnym czepku i w szalu!

— Ale za to na drugi dzień do obiadu ubrałaś się jak na bal, rzekła Ofelia patrząc w oczka Jadwigi.

— Bom się chciała pomścić za raczka, którego mi w wieczór swoim wzrokiem napędził. Ma wzrok szczególny, przenikliwy.

— Jakaż to miała być zemsta?

— Chciałam go na kilka dni skokietować, a potem.. potem wyśmiać porządnie.

— I udało ci się?

— Gdzie tam! Jakoś żal mi się zrobiło, bo widać że ma nie złe serce. A zresztą uprzedziłaś mnie.

Ofelia zarumieniła się i pogroziła Jadwidze.

— Nie żartuj nigdy z sercem Jadwisiu, bo jedna nierozważna chwila, może całe życie skrzywić.

— No jeśli to prawda, to jego życie jest już jak sierp krzywe. On tak tobą zajęty, że nic nie widzi, na nic nie patrzy, tylko w ciebie, jak w tęczę oczy wlepia. Widziałaś jak się zachwycał, gdym powiedziała, żeś ty zrywała te astry? Mama słusznie mówi, on gotów sobie coś na prawdę uroić. A wtedy Felciu, ja też pogrożę i powiem: Ostrożnie z sercem inżyniera-porucznika, bo jego życie skrzywi się jak jego szabelka!...

— Żarty mnie dzisiaj nie bawią... ale przysięgam ci Jadwisiu na pamięć mojej matki, gdybym wiedziała że jestem przyczyną czyjego nieszczęścia, byłabym gotowa wszystko z siebie uczynić, a nawet i ofiarę!

— I nawet pójść za porucznika?

— Gdyby go serce moje wybrało!

— *Ah va-t-en*, toby coś zakrawało na taką tragedją, o jakiej nawet mamcia jeszcze nie marzyła!

Ofelia nic na to nie mówiła, tylko wpatrzyła się w obraz matki, jakby w bladych jej rysach szukała odpowiedzi dla swego serca.

Po tak drobnych chmurkach które po horyzoncie pałacowym szybko przemknęły, nastąpiła znowu pogoda. A była to pogoda w całem znaczeniu tego słowa, jaka raz tylko w życiu naszem przyświeca, Bawiono się na jawie i w snach, w salonie i w ogrodzie, robiono wycieczki do lasku, do Sobkówki, a stary kapitan widział nieraz cały legion amazonek, szturmujących w bramkę skromnego dworku. Nawet hrabina zapomniała na czas niejaki o swoich figurkach i w zgrabnym kapelusiku, z dużem czarnem piórem, harcowała na ulubionej swojej Myszce. Gustaw układał plany wycieczek, wszystkiemu sam przewodniczył, wynajdywał różne zabawki i nowe spacery. W salonie był niewyczerpany w konceptach. Grał i spiewał co raz to inne arje i melodje, opowiadał zdarzenia których sam był świadkiem, deklamował poezję, a nadewszystko jak najskrupulatniej przestrzegał reguł grzeczności salonowej, czem sobie i najnieprzyjaźniejsze zjednał serca.

W obcowaniu całego towarzystwa było wprawdzie coraz więcej swobody, ale zachowanie się Ofelii i Jadwigi nie miało już tej naiwności, która pana Alfreda zrazu tak mocno zatrwożyła. Gdyby pan Alfred umiał istotnie patrzeć, toby właśnie w tej wymuszonej powściągliwości mógł dojrzeć czegoś coby go mogło mocno zasmucić. Ale hrabia wychował się w świecie, gdzie wszystko potrzebuje formułek widomych. Aby kochać, potrzeba damie co chwila nadskakiwać, zdejmować z niej szal i podawać kapelusz, trzeba ją wsadzać do powozu, na spacerze lornetować, na balach z nią tańczyć, a w teatrze naprzeciw niej abonować loże. Aby kochać, potrzeba mieć faetonik koloru, jaki dama lubi, a konie takiej samej maści, jakiemi jeździ księżna, potrzeba ze sklepów wykupywać wszystkie te drobnostki, które ona na spacerze pochwali, a przedewszystkiem potrzeba bardzo wiele mówić o przyszłem urządzeniu domu i stosunków, o wizytach i kąpielach, które dzisiaj stały się już konieczną potrzebą lepszego życia, tak jak cygaro i czarna kawa po lepszym obiedzie.

Tego jednak wszystkiego nie wiedział pan Alfred i tem się uspokoił. Cieszyło go, że Ofelia coraz skromniej do porucznika przemawiała, a często nawet oczu na niego nie podniosła. Jadwiga w niczem się nie odmieniła, tylko pilnie patrzała, kiedy ojciec lub matka w salonie się ukażą. Ubierała się jednak staranniej niżeli przedtem, co matkę niezmiernie cieszyło. Często bowiem się pierwej zaniedbywała, a nieraz nawet do wspólnego stołu nie przyszła, gdy się jej ubrać nie chciało. A że była z gruntu złośliwą i roztrzepaną, nie mogła wytrzymać, aby razu jednego nie powiedzieć Ofelii, że zmieniwszy gust swój, tak teraz włosy nosi, jak jej niedawno zalecił pan Gustaw. Napędziwssy rumieńca biednej Ofelii, pobiegła do Gustawa, i szepnęła mu półgłosem, że Ofelia rada go widzieć w sukniach cywilnych. Za trzy dni siedział Gustaw w czarnym fraku przy fortepianie i śpiewał:

*Pour moi plus de crainte importune,*
*Tout semble sourire à mes yeux.*
*L'amitié, l'amour, la fortune*
*S'entendent pour combler mes veux...*

Jadwiga przyklasnęła, a powiedziawszy słów kilka Ofelii do ucha, stanęła za krzesłem, na którem siedział Gustaw, i rzekła: Kończmy, kończmy panie Gustawie, ja dopomogę:

*Votre sort est si glorieux...*
*Pour qu'il soit a son apog ée*
*Il vous manque encore un appui....*

— *Quelle appui?* zapytał się zdziwiony Gustaw i wykręcił się na krześle, ale Jadwigi już w salonie nie było.

— *Quelle appui?* wołał Gustaw z progu salonu za uciekającą.

— Tytułu, szepnęła do ucha Ofelii, która za nią do drugiego pokoju weszła.

Z takich to drobnych na pozór scen układał się powoli w sposób mozaiki, wielki obraz życia, na który niegdyś świat miał patrzeć, a który w końcu sam Bóg miał osądzić...

Gustaw wszystkich ujmował nadzwyczajną grzecznością. Przyrębie darował bursztyn niesłychanej wielkości, ekonomowi tabakierkę, pisarzowi pyszny angielski scyzoryk. Wszyscy i wszystkie uwielbiali i wychwalali młodego i grzecznego porucznika. Nawet sam pan Alfred przyznał się jednego razu, że jest pod jego pantoflem, tak polubił jego towarzystwo, tyle mądrych od niego usłyszał rad i spostrzeżeń w zawodzie gospodarskim. Jadwiga nazywała go po cichu *modele d'un jeune homme*, i gniewała się na dziwaczny zbieg okoliczności, że się z jakim tytułem nie urodził. Hrabina nazywała go głośno i otwarcie kapłanem muz dziewięciu, a gdy Gustaw zauważył, że kapłan muz dziewięciu niegdyś trzodkę pasał, i skromnie na fujarce sobie przygrywał, odpowiedziała Jadwiga:

— Toż dla tego lgną do niego tylko owcze serca, serca czułych niebożątek.

— Nie miej pan jej tego za złe, rzekła hrabina, bo ona nie zna jeszcze potęgi sielanki, nie czytała ani Delila ani... jak tam Ofelio!

— Wiesława.

— Ani pana Wiesława? Szczebiocze co jej na język przyjdzie.

Nie było to wszakże tylko puste szczebiotanie, jak rozsądna matka zauważyć raczyła, ale było w tem coś więcej. Widać, że i hrabina nie umiała patrzeć, że i jej potrzeba było we wszystkiem tak namacalnych fraszek, jak jej figurki porcelanowe. Nie spostrzegła wcale, że to była mała, forpocztowa wojna, prowadzona tuż pod jej okiem, a nawet czarne oczka Jadwigi za często się zdradzały. Gustaw to widział i rozumiał, i jak każdy młody, zarozumiały mężczyzna, cieszył się w duchu z tej emulacji, i zagrzany takiem powodzeniem roił sobie na przyszłość co raz to śmielsze nadzieje. Zdawało mu się, że do ukończenia zamiarów nic mu nie brak, jak tylko pierwszej lepszej sposobności, i tak był pewny tryumfu, że już nie marzył ani o cierniach, ani różach, jakto w takim razie bywa, ale o laurach, na których miał wkrótce swobodnie wypoczywać.

Z hrabiną rozmawiał o sztukach i poezji, dawał jej różne przedmioty do najpłaczliwszych trajedji, układał akta i sceny, a dla bohaterów dobierał najfantastyczniejszych kostiumów. Ująwszy sobie tym sposobem jej serce, mógł swobodnie dalej w zamiarach swoich postępować, a hrabina musiała nieraz przez palce patrzeć, aby w domu nie zamieszać spokoju, i męża, który jej nadzór wspólnych zabaw pourczył, od jego zatrudnień nie odrywać.

Ofelia odżyła jakoś na ciele i duszy. Stała się weselszą i rozmowniejszą, a blade jej lica zafarbowały się lekkim rumieńcem zdrowia i dobrego humoru. Odgadując sercem zamiary Gustawa, pojmowała go w każdem słowie, w każdem wejrzeniu, a najlepiej rozumiała go wtedy, gdy w szarej godzinie spiewał przy fortepianie, lub w nocy miesięcznej grał w swoim pokoju na melancholijnym melodikonie. Mówiąc z nią tak umiał każde słowo do jej położenia zastosować, i taki mu nadać akcent, że nie raz w jednem takiem słowie powiedział jej tyle, że całą noc miała o czem śnić i marzyć. Mimo zakazu pana Alfreda chodziły kobiety do złotej sali, dokąd je zawsze wywabić umiała niewyczerpana w swoich konceptach Jadwiga.

Starożytni wierzyli, że sztuka jest boskiego pochodzenia. I Ofelia musiała tak samo wierzyć, bo patrząc na Gustawa, gdy był pracą zajęty, widząc jego oko rozjaśnione natchnieniem artysty, jego brwi, w pół złamane jakąś wyższą myślą, który w obraz przelewał, zdawało jej się, że ten młodzieniec dopiero z Olympu zstąpił na ziemię, że nad piękną jego głową jaśnieje jeszcze tęcza wyższego rodu!... Najtrudniej szło z mundurem. Żaden z ideałów Ofelii, jaki kiedykolwiek wymarzyło jej serce, nie ubierał się w mundur, ani nie miał szabli przy boku, a jeśli kiedy coś podobnego jej się przyśniło, to byłto mundur jakiś tradycyjny, jakiego dzisiaj nie noszono. Ale cóż jest niepodobne sercu, co kocha? Wyobraźnia dziewicy zidealizowała go w taki strój, jakiego jej dusza pragnęła, tak samo jak dzisiejszy rzeźbiarz idealizuje prozaiczną kapotę wielkiego męża do draperji klasycznej.

Gustaw był w pracy swojej nie zmordowany, Tak jakoś wiele czuł w sobie natchnienia i zapału, że nie tylko kasztelana odkopijował, ale jeszcze kilka obrazów własnej kompozycji wymalował.

Pan Alfred cieszył się szczerze takim gościem, a były chwile w których nawet o pozycji domu swego zapominał. Edmund wrócił z kuligowej wycieczki, a za kilka godzin nie było już między nim a porucznikiem żadnej różnicy. Był to młodzieniec słabej głowy i jeszcze słabszego serca, a jeżli kogoś poznał, to lepiej od niego grał w djabełka, lepiej robił woltę, lepiej się ubierał, i lepsze miał psy i konie, lub więcej niżeli on łgał lub umiał, to go już nie puścił tak płazem, tylko obcałował się z nim i zaprzyjaźniał, a nawet do tego doprowadzał, że sobie wzajem t y mówić musieli. Gustaw umiał i wiedział daleko więcej, miał zatem już najgłówniejsze warunki jego najserdeczniejszej przyjaźni.

Niewiedząc jeszcze jak jego zamiary w pałacu przyjęte być mogą, umiał Gustaw tak zręcznie w towarzystwie się zachować, że nikomu ani przez myśl nie przeszło, aby w swojem postępowaniu miał jakieś cele ukryte. A jeśli coś ujrzano, wzięto to na karb temperamentu lub nawyczki żołnierskiej, o jakiej miano już praktykę przy częstych

kwaterunkach wojskowych. Tylko dwoje z pałacu wiedziało o wszystkiem. Wiedział rudy żyd Jankiel, lecz przechowywał to w tajemnicy aż do pewnego czasu; wiedziała także i Jadwiga. Jej czarne oczka musiały wszystko dojrzeć, wszędzie się wcisnąć, i najpiękniejsze kochanków chwile wypłoszyć swoim złośliwym uśmiechem. I ona nie rzekła nikomu ani słowa, raz, bo się czuła jakoś współwinną, a powtóre, może czekała także do pewnego czasu.

W Sobkówce wiedziano wprawdzie o planach Gustawa, ale mu nigdy nic o tem nie mówiono. Stary kapitan zadąsał się mocno, gdy Gustaw do niego kiedy przyjechał, mówił do niego długo i szeroko, cytując i Wujka i Skargę i Augustyna, ale mówił tak ciemno, w takich ogródkach, że Gustaw niczego się nie domyślił. Zresztą kończył starem przysłowiem: „Nie daj nikomu żony, boć to towar uprzykrzony“ albo: »Jak sobie pościelesz, tak się wyspisz.«

Adolf nigdy z bratem o tej materji nie mówił. Mieszkał u kapitana, robił w okolice wycieczki, zbierał herbalia, czytał książki, a czasami odwiedzał Gustawa w pałacu, gdzie w kancelarji hrabiego cygaro wypalił, i Przyrębę w oficynach, gdzie o biednym malarzu coś się dowiedział, i z panią Przyrębiną i Leońcią arystokratycznego pasjansa ciągnął.

Malarz plótł ciągle bez sensu, a chociaż na prośbę Ofelii dano mu wszelkie wygody, nic nie wiedział jednak, gdzie się znajduje, i fantazjował ciągle o więzieniu, w którem jako zabójca jest osądzony. Widział przed sobą cienie nieboszczyków, słyszał dźwięk łańcuchów, i codziennie odbywał konwulsje śmierci.

Dla Ofelii był on jakoś istotą fantastyczną, której pojąć dotąd nie mogła. Zkąd się wziął w jego rękach portet jej matki, jakie były koleje jego losów, były to pytania, na które jeszcze nie miała odpowiedzi. Czekała więc cierpliwie końca, tak jak się czeka końca powieści lub dramatu, w tem przekonaniu, że jakoś to się rozwiąże!

I tak upłynęło kilka tygodni, szczęśliwych i nader krótkich dla tych, których dusze w tym czasie z sobą się porozumiewały i zaprzyjaźniały, aby kiedyś zajść w sojusz przyjaźni dozgonnej, a smutnych i okropnie długich dla tych, którzy dręczeni nieczystem sumieniem oczekiwali z dnia na dzień wykrycia popełnionej zbrodni.

Wreszcie nadeszła dla jednych i dla drugich chwila stanowcza.

C. d. n.

# Stare Wrota.

Wyjątek.

Dokończenie.

Ojciec był nierad tej jego dworszczyźnie:
„Lepiejbyś poszedł Wołochom w niewolę:
«Na jasnych dworach chcesz dopędzać dolę,
«A tu się dola wioskowa wyśliźnie.
„Czy ci niemiła domowa zagroda?
«Czy mało chleba? czy może zła woda?
„Czy tu złe knieje? czy tu złe nadzieje?
„Nad twoją strzechą słomianą i starą
„Patrz, jak się niebo dobrotliwie śmieje,
„Mierzyć ci hojną obiecuje miarą.
«A tam na dworach, gdzie chętka cię wzywa,
„Zyski niepewne, strata niewątpliwa:
„Bo strata czasu na służebnym chlebie,
„Dla Boga, kraju, dla samego siebie.
„Tam twoja wola nietwoją się stanie,
„Tam zaprzedałeś twój sen i czuwanie,
„Tam każde słowo musisz mieć na wodzy;
„Wiesz jak bogatym hołdują ubodzy;
„Służąc w ich barwie, niedopuszczaj Boże
„Nawet myśl twoja zaprzedać się może!
„Boś ty najemnik, i Bóg wie za kogo
„Nieść twoją głowę rozkazać ci mogą.
„Nie idź, mój synu, lub jeśli ci mile,
„Idź w dworską służbę, ja nie błogosławię:
„Bo wiem, że do nas powrócisz za chwilę,
„Może powołan ku godniejszej sprawie!«

Niebłogosławił — a młody Szeliga
Jechał do dworu, i już barwę dźwiga,
Hasa po kniejach jak dojeżdżacz lichy,
Poszedł swą drogą: bo w niebiesiech pono
Nad głową szlachty za grzechy jej pychy,
Już służebnictwa klątwę wyrzeczono.

Ojciec umierał i przyzywał syna:
Syn nie mógł przybyć po błogosławieństwo;
Bo była zręczność popisu jedyna,
Obława sławna, całe wielkie księstwo,
Wszystko, co żyje na wyścigi bieży
Polować z królem do puszcz Białowieży.
Mniemał Szeliga w zamniemaniu płonnem,
Że król, gdy zręczność łowiecką obaczy,
Weźmie go k'sobie i mianować raczy
Łowczym nadwornym, a potem koronnym;
A wtedy żywot rozpocznie szczęśliwy,
I pana ojca przekona, co umie.
Lecz król młodzieńca ani widział w tłumie,
A ojciec umarł nie błogosławiwszy.

Odtąd dworszczyzny burzliwym odmętem
Płynął Szeliga przykuty do łodzi.
Już ani pytaj jak mu się powodzi:
Bo krzyż ojcowski swym promieniem świętym
Już się nad głową jego nie migota,
Dróg nie oświeca błędnego żywota.
Przez nieuwagę popsował raz sieci,
Że wilk ścigany z ostępu wyskoczy:
Pan się rozgniewał, i groźnie zaleci,
Aby mu więcej nie stawał na oczy.

Wypchnięty z dworu, niepostał już doma
Bo się płochości sam przed sobą sroma.
Obliczył grosze, kwota ich zbyt mała;
Ubiegłe lata obrzucił oczyma,
Większa połowa marnie się styrała.
Obliczył zdrowie, to jeszcze się trzyma.

Więc dalej na świat poszedł zbierać plony
Po inszych dworach Litwy i Korony.
W dworach Kierzgajłów, Kiszków, Chlebowiczy
Tyrał swe zdrowie, wodząc pańskie psiarnie,
Chciał doznać w życiu rodzimych słodyczy,
Pojął małżonkę, wnet nędza ogarnie.
A kiedy insi zbierali wawrzyny
Z królem Batorym na Inflanckiej wojnie,
On na niedźwiedzia ostrzył rohatyny.
Lub w pańskich waśniach walczył niedostojnie.
Gniotła go nędza, więc byle zapłacą
Nadstawiał czoła Bóg wie gdzie i za co.
Wziął ranę w czoło, nie gdzieś przy fortecy,
Lecz służąc świadkiem u sądowych kratek:
Niedźwiedź na łowach szarpnął go przez plecy,
I wyrwał zdrowia krzepkiego ostatek.
A więc w Krakowie we szpitalu leży,
Żona bez chleba, on sam bez odzieży;
A syn, którego niebo mu przysłało!
Kwilił w pieluchach, jak istota podła,
Nie mógł ojcowską poszczycić się chwałą,
Coby go kiedyś między ludzi wiodła.
Cierpiał Szeliga, lecz się nieużala:
Bo nad swą strzechę wolał zamki cudze.
Po tyluletniej na dworach usłudze,
Czuł, że sam winien, że godzien szpitala.
Szczęściem Bobola, wielki podkomorzy,
Człek miłosierny, a kochanek Króla,
Zwiedzając domy, gdzie jęczeli chorzy,
Nad jego losem rzewnie się rozczula.
Niepiśmiennemu, jak strzelec zwyczajnie,
Co nie miał zdrowia, co już był niemłody,
Jakież się mogły nastręczyć zawody?
Wzięto Szeligę do królewskiej stajnie.
Zapłakał zrazu mając barwę nosić,
Ale niedoli doświadczył już dosyć:
Więc gwoli żony i dziecka potrzebie
Zaparł się herbu i samego siebie.
Nowy chleb jego, zwyczajnie woźniczy;
Choć to u króla, lecz zawsze sromota,
Wśród upokorzeń, wśród ciągłych goryczy,
Boleść na sercu, chociaż barwa złota.
Ale ta świetność i hańba rzemiosła
Przez lat czternaście do serca już wrosła.
Tylko gdy Skarga k'wyznaniu zachęca,
I trącił serca bolejącą stronę,
Szeliga ryknął płaczem potępieńca:
„Czyż ja tu kości do grobu osunę?
„Jaż niegdyś szlachcic! czyż Bóg mi przeznacza,
„Włożyć do trumny mój bicz poganiacza?
„Och! gdyby nieco grosza ku potrzebie,
„Znówby woźnica wskrzesnął na szlachcica;
„Szedłbym na Litwę o żebranym chlebie,
„Tambym przebłagał mogiłę rodzica,
„Wykupił dworek, com stracił z mej winy,
„I zakopany w ustroniu dalekiem,
„Kształciłbym syna pomiędzy Litwiny,
„I tambym umarł niezależnym człekiem.
„Dajcie mi, Księże, lekarstwo na ranę!
„Zedrzyjcie ze mnie złocistą sukmanę!
„Z pługiem rolniczym i w szarej siermiędze
„Karczując grunta, przypomnę żem człowiek,
„Gdy znosić nędzę, niech tam znoszę nędzę,
„Niechaj odżyję przed zawarciem powiek."

(G. W.) *W. S.*

# Piknik.

Ciąg dalszy.

### III.

Tu muszę wprowadzić na scenę nową figurkę, a nią być musi mimo całej skromności autorskiej, sam autor.

Przypadek zdarzył że znałem kiedyś ś. p. profesora a nawet od czasu do czasu jako prawdziwy filantrop odwiedzałem wdowę i sieroty. Zostałem tedy wezwany, abym został uczestnikiem piknika, czego nie odmówiłem. Jeżeli tedy wszystko co się dotąd działo, z opowiadania tylko opisałem, dalsze piknika losy spiszę jako świadek naoczny z całą sumiennością, na jaką tylko może się zdobyć o rzeczach prawdziwych piszący powieściarz.

Dochodząc zdaleka już, choć nic widzieć nie można było, bo jak wiadomo oświetlenie u nas nie bywa rzęsite, można było dorozumieć się czegoś niezwyczajnego, po gwarze jaki panował przed domem, zamieszkanym przez profesorową. Kilkunastu chłopców którzy wybiegli z rozmaitych warsztatów, stało przed bramą, podziwiając świecącą jakąś rzecz, która z głębi sieni wystawała. Trudno to było zrozumieć co to za rzecz, i chyba tylko domyślić się trzeba było, że to jest rodzaj lampy, mającej oświecić wnijście na schody. Był to rodzaj jakiegoś smutno i ciemno swiecącego kaganka, na który, dla większej ozdoby pan sekretarz Koper zasadził kapturek z kolorowego papieru zrobiony, co służyło tylko do zaciemnienia większego, skąpego już i tak światełka. Rzeczywiście i w sieni samej, i na schodach, okopconą lampą oświeconych, tak było ciemno, że zaraz przy pierwszym schodzie potężnego o ścianę nabiłem sobie guza, z wielką pociechą uliczników, którzy każdego wchodzącego rozbierali po swojemu w satyryczno dramatycznym dialogu.

Wydrapałem się wreszcie na trzecie piątro z niemałą pracą, i nie bez szwanku. Tu niemała była jeszcze sztuka, odszukać właściwe drzwi, których na długim dość korytarzu kilka było. Przed drzwiami przybity był wprawdzie kaganek, ale zgaszony korytarzowym wiatrem, jeżeli już nie światłem swojem, to przynajmniej przenikliwym smrodkiem olejnym wskazywał drzwi, przez które wejść należało.

Wszedłem wreszcie. W małych a ciemnych sionkach siedział przy łojówce jakiś niewielki a garbaty człowieczek, który odbierał bilety, i do niezbyt wielkiej skrzyni przy nim stojącej, wrzucał bezładnie, na gwałt prawie pakując jedno na drugie, gościnne płaszcze, paletoty i salopy. Westchnąłem widząc niknący paletot mój w tej przepaści, i wstąpiłem, ale nie do salonu bawialnego jeszcze,

Trzeba było przechodzić jeszcze przez kuchenkę, zamaskowaną starym parawanem, z za którego odzywały się różne piskliwe głosy, i wonie najróżnorodniejsze. Przesunąwszy się szczęśliwie po przed zamączoną stolnicę dostałem się nakoniec do sali piknikowej.

Towarzystwo w całym już prawie było komplecie. Było liczne dosyć a mianomicie głośne, bo wszyscy prawie razem gadali. Czy się rozumieli tego nie wiem, ale to pewna że wszyscy starali się nawzajem przegadać. Przesuwając się jak mógłem przez gwarliwy ten chaos, ledwie dostałem się do gospodyni, która przywitawszy mnie jak dawno znajomego, oddała zaraz pod opiekę jakiejś grubopłaskiej jejmości, tytułując ją baronową.

Do końca piknika i po pikniku nawet nie dowiedziałem się, kto była ta baronowa, ale że była jedna z najnudniejszych i najgadatliwszych w świecie baronowych, tego niestety doznałem przez cały wieczór.

Pokazało się naprzód że mnie znała doskonale, wiedziała bowiem nie tylko wszystko co kiedy robiłem i nierobiłem, ale nawet i to co myślałem kiedykolwiek. Mianowicie serdeczne stosunki tak moje jak i całego świata zdawały się należyć do jej departamentu.

— Widzisz pan to malenkie, poczwarne stworzenie, z tym noskiem przełamanym, co się tak niezgrabnie trzyma. To córka Imbirewicza, co tu na rogu ma sklep korzenny. Jak pan widzisz brzydka i okropnie ograniczona, bo to się tylko zna na pieprzu i szafranie, i nawet Pawła de Koka nie czytała. Imajnuj pan sobie, że narzuca się gwałtem panu adjunktowi; widzi pan tego w bronzowym fraku. Prawda że przystojny chłopiec, i mocno edukowany.

Spojrzałem za jej okiem i palcem. Imbirewiczówna rzeczywiście nie była ładna i maleńka, ale w jej piwnych oczach było wiele słodyczy, skromności i sprytu nawet. Co do adjunkta był to wysoki mężczyzna fenomenalnej chudości, z twarzą wysmukłą tragicznej bladości, której jedyną, ale prawda że potężną był ozdobą długi i nadzwyczaj spiczasty nos, podobny nieco do puginału, jeżeli nie do kuchennego szpikulca.

— Mnie to wprawdzie wszystko jedno, ciągnęła dalej baronowa, bo chociaż jestem wdową...

Wzrok jaki na mnie przy tych słowach rzuciła, był tak pożerczo zalotny, że zadrzałem cały. Był to wzrok prawdziwie wdowi.

— Mnie nie w myśli nowy mąż! ja znam was wszystkich mężczyzn. Zdrajcy wy! i pan taki być musisz, dodała uderzając mnie po palcach wachlarzem. Wachlarz ten objętością swoją był na równi z jej tuszą, i z olbrzymim tokiem na głowie, który się wydawał jak by turban kolosalny.

— Albo ta imość chuda, do deski podobna albo do tyki, na której by kto suknie porozwieszał: ciągnęła dalej porywając mnie za guzik, i szepcząc mi w ucho niby.

C. d. n.

# Kilka słów o bibliotece Raczyńskich w Poznaniu.

Nie wszystko złoto co się świeci.
(Stare przysłowie.)

Ciąg dalszy.

Z tych dwóch arcyprostych zapytań i odpowiedzi wypływają logiczną koleją dalsze następstwa. Sama natura stosunku między mocodawcą a pełnomocnikiem, między właścicielem a kimś, co jego groszem i mieniem zarządza, wymaga regularnego i dokładnego składania rachnuków pierwszemu ze strony drugiego. Niezaprzeczona ta prawda cywilnego prawa zdobyła sobie w czasach nowszych mianowicie szerszy daleko zakrój. Zarządy kasowe wszelkich prywatnych i publicznych towarzystw, naczelne władze administracji miejskiej, wreszcie najwyższe urzędy pólityczne w kraju, rozrządzające jego pieniądzem, poczuwają się na całym świecie do obowiązku składania budżetów dochodu i rozchodu, na grosze i szelągi. Skądże więc w czasie kiedy zasadę jawności postępowania i odpowiedzialności ogólnie uznano i przyjęto, bierze się prawo kuratorji biblioteki Raczyńskich, administrującej cudzą własnością, niezdawania temuż właścicielowi sprawy z każdego kroku swego? Niejeden powodowany fałszywą delikatnością, chciałby może uwolnić kuratorją od tego obowiązku, widząc w niej jakby reprezentacją tyle zasłużonego dla sprawy publicznej założyciela, nie jeden odezwie się może: „Pocóż ta ciekawość co oni tam z temi pieniądzmi robią, przecież ich nie pokradną?" Bardzo dobrze; cenię tak delikatność jednych, jak wierzę zaręczeniu drugich, ale nie widzę powodu, zkąd zasługa założyciela ma uwalniać od wyraźnych obowiązków mianowany przezeń i doprawdy niewinien zasług owych zarząd: a dalej śmiem twierdzić, że się arcyrzadko zdarza, aby wszyscy zobowiązani najabsolutniej do składania rachunków z administracji cudzego grosza obowiązani, począwszy od ministra skarbu, skończywszy na dyrekcjach zabezpieczeń od ognia i gradu, podlegali zarzutom nieuczciwości i przeniewierstw. Czyż dla tego mniej wyraźny i mniej kategoryczny ich obowiązek do legitymowania się regularnemi sprawozdaniami w obec założyciela?

Lecz dosyć na tem! Cały powyższy wywód miał tylko na celu wykazać, w jak krzywe i nienaturalne położenie wchodzi biblioteka Racczyńskich przez nieuszanowanie zasady jawności i odpowiedzialności. Szkody jego widoczne przy zaopatrywaniu biblioteki w nowe książki, nie dały się wprawdzie dotychczas równie we znaki w zarządzie posagu bibliotecznego, ale bądź co bądź, razi zawsze przykro i boleśnie nadwerężanie zasady, uświęconej słusznością i powszechnym zwyczajem. A o cóż tu właściwie chodzi? O półgodzisy rękopiśmiennej pracy i posłańca do 100 kroków od biblioteki oddalonej redakcji Gazety W. ks. Poznańskiego, która zaręczamy, podobny akt z radością przyjmie i bezpłatnie wydrukuje!

## IV. Zarząd niższy.

Jak dość obszernie mówiliśmy w różnych miejscach o wyższem zarządzeniu biblioteki i jak jeszcze do tej nieszczęsnej materji po kilka razy wrócić nam wypadnie, tak krótko rozpiszemy się o zarządzie niższym bibiloteki. Zarząd tenże składa się jak już wiadomo z powyższego opowiadania z bibliotekarza, murgrabiego, i oddanego na ich usługi odźwiernego. Urzędnicy ci, (którym mianowicie bibliotekarzowi bez szkody dla księgozbioru miejsca i głosu w kuratorji odmawiać nie należało) związani najzupełniej postanowieniami aktu donacyjnego, który z nich nic więcej, jak nieme narzędzia wyższych rozporządzeń i cudzej woli porobił. Więcej odpowiedzialności ale i więcej swobody w urządzeniu czytelni, w wyznaczaniu godzin, przeznaczonych na czytanie, w wypożyczaniu książek po za mury gmachu bibliotecznego, a publiczność nie byłaby z pewnością na tem straciła. Co się tyczy pilności, grzeczności, dobrej woli dla gości ze strony niższego zarządu, na to wszystko skarżyć się najmniej nie można. Bibliotekarz teraźniejszy i poprzedni gorliwi we swem miejscu, gotowi do udzielenia wszelkich potrzebnych czytelni-

kowi objaśnień; obeznany dokładnie ze składem i ładem biblioteki murgrabia zastępujący w czasach potrzeby jak najlepiej samego bibliotekarza - wreszcie będący na ich usługach odźwierny, dawny sługa domu Raczyńskich, wszystko to stara się być pomocnem i pożytecznem zwiedzającej bibliotekę publiczności. Jeżeli zaś czasem 12-letnim gimnazjastom, proszącym o „Zielony płaszcz w Wenecji" lub «Rynaldyniego» dostają się od bibliotekarza lub murgrabiego gromy, a w dodatku «Podróż Edwarda Raczyńskiego do Turcji, lub powieści p. Hofmanowej, to wolemy to raczej tym panom na karb zasługi, aniżeli niegrzeczności lub złej woli dla publiczności policzyć.

Dla oddania hołdu prawdzie nadmienić przecież należy, że nie wiadomo czy z własnego natchnienia, czy też w skutek uchwały kuratorji z 4. tygodni rocznich ferji, jak akt donacyjny stanowi, zarząd niższy biblioteki razem z gimnazjastami około 10 tygodni ferji odbywa. Jestto może trochę niedogodnie dla ludzi, któryby korzystając z ich wcale pracującemu na rękę będącej nieobecności, z zasobów bibliotecznych w tymże właśnie czasie korzystać chcieli, ale zresztą nie mamy za złe tych długich świąt niższemu zarządowi bibliotecznemu, (bo któż z swobody chętnie nie korzysta!) i zapisujemy tę reformę ferialną jako fakt, aniżeli jako zarzut. Okoliczność ta dowodzi jednakowoż, że akt donacyjny nie jest jak ałum niezmienny, i że w razie tylko dobrej woli, podobnie jak cztery tygodnie zreformowały się na 10, tak i w innych gałęziach zarządu bibliotecznego dałoby się niejedno większe i mniejsze złe naprawić i zreformować.

(C. d. n.)

## Rozmaitość.

**Z Wiednia**, 28go Stycznia.

* Wczoraj odbył się słusznie nazwany «koncert monstre» na cześć stuletniej rocznicy urodzin Mozarta. Koncert ten odbył się pod dyrekcją Liszta w wielkiej sali redutowej, w którym brało udział blisko 500 osób, to też połowę ogromnej sali zajmowała sama orkiestra. Po wygłoszonym prologu nastąpiła Ouwertura i chór kapłanów z opery «flet czarodziejski», potem koncert na fortepianie C moll wykonany przez p. Dachs. Nastąpiło potem wspaniałe „Requiem" wykonane przez całe gremium orkiestry i obydwóch chórów; był to najświetniejszy punkt koncertu, wykonany z całą precizją i wyznać trzeba iż majestetyczności tego dzieła nigdy tak głęboko nie przejęła słuchaczy jak tą razą pod przewodnictwem Liszta. Na zakończenie odegrano finale z Don Juana, które jednak nie zrobiło powszechnie spodziewanego wrażenia. Naj. Państwo obecni na koncercie, tudzież tłumy publiczności, opuścili salę z największem zadowoleniem.

Liczba artystów polskich została powiększona jednym pianistą więcej. Jestto młody 18to letni uczeń Dreyszoka, p. Emil Łapczyński. Występował on już publicznie przed trzema laty w Pradze. Dnia 19 b. m. dawał koncert w Wiedniu w sali towarzystwa przyjaciół muzyki, i nie mały interes wywołał w publiczności. P. Łapczyński w grze swojej posiada wielką biegłość i do wysokiego stopnia posunięte wykształcenie techniczne, passaże czyste i gładkie, wykonanie sztuk dokładne, pełne elastyczności i czucia. Odegrał najprzód Trio Mendelshona C moll, niemniej pięknie wykonał kilka kompozycji swego mistrza Dreyszoka, olbrzymią sonatę Bethowena F mole i Nocturny Chopina Fis dur. Wykonanie tych sztuk zapewniają mu na przyszłość stanowisko artysty które go postawi obok Kątskich, Lipińskiego, Kossowskiego. P. Łapczyński jest jeszcze młody, postać jego nazbyt skromna, dla tego też tem więcej był ceniony i po każdym kawałku kilkakrotnie wywołany, nie mniej i Liszt obecny na jego koncercie oddał pochwały jego talentowi. P. Łapczyński zamierza dać jeszcze jeden koncert a potem przejeżdżając do Warszawy odwidzi Kraków i Lwów.

Do najinteresowniejszych tegorocznych balów dworskich niezaprzecznie liczy się wczorajszy maskowy bal dziecinny, w którym arcyksiąże Ludwik w ubiorze Ludwika XIV czynił honory. Nie mniej interesowany był pochód maskowy, składający się z 50 par.

**Dobrana para.** W małem miasteczku angielskim para młodych ludzi brała ślub. Gdy przyszło do wpisania się w książkę kościelną, pan młody podpisał się znakiem krzyża świętego. Tak samo zrobiła panna młoda.

— Ależ ty umiesz pisać, szepnęła do niej przyjaciółka, jej drużka.

— Nie chciałam go zawstydzić, odrzekła panna młoda, od jutra zacznę go uczyć czytać.

## Nowiny lwowskie

* W skutek mnogich dopytywań, jakim sposobem przystąpić można do Towarzystwa muzycznego, podaje się do publicznej wiadomości, że się w tej mierze udać należy do pana Kallenbacha jako kasjera towarzystwa, w którego księgarni znajduje się lista subskrypcyjna wszystkich tegoż towarzystwa członków płacących.

* **Konkursa.** Posada radcy przy dyrekcji finansowej w Krakowie z pensją 2000 złr. termin podania do końca lutego. Posada komisarza cyrkularnego w okręgu rządu krakowskiego z pensją 900 złr. Posada aptekarza w Dąbrowie, termin podania do końca lutego. Posada kancelisty przy urzędzie powiatowym w Żurawnie z pensją 350 złr. termin podania do 1go marca. Posada kancelisty przy urzędzie powiatowym w Sokołowie z pensją 350 złr. termin podania za 4ry tygodnie po ostatniem umieszczeniu w gazecie lwowskiej. Posada kancelisty przy urzędzie powiatowym w Brzostku z pensją 350 złr. m. k. termin podania do 15go lutego.

* **Dwie ryciny**, do dzisiejszego numeru przyłączone, przedstawiają: Rycina Nr. 669. 1) Suknia z różowego tiulu illusion, pod spodem jedwabna tegoż koloru spodnica w trzy tuniki, pierwsza z szerokim bufem u spodu, i falbaną obszyta w trzy rzędy atłasową wstążeczką różową, i tyleż razy białą blondyną; druga z falbaną jak przy pierwszej, obszytą dwoma tylko rzędami wstążeczek i blondyn; trzecia tunika podwójna, obszyta podwójnym rzędem szerokiej wstążki atłasowej różowej; także sama wstążka idzie przez stanik, i spada długiemi końcami w tyle, a na przodzie kończy się fontaziem, nad którym przyczepiony jest bukiet zastosowany do ubrania głowy. Rękawy krótkie z podwójnym bufem, obszyte wązką koronką ręcznej roboty, półkoszulek z takiej samej koronki, ubranie na głowie z róż i innych rożowych kwiatków. 2) Na białej jedwabnej, suknia z białego tiulu illusion. Spodnica o czterech szerokich bardzo tunikach. Trzy wierzchnie tuniki opięte niebieskiemi narcyzami, takież same kwiaty stroją stanik na przodzie i rękawy. Stanik i rękawy obszyte koronkami. Na głowie błękitne narcyzy i niezapominajki. Broszki i branzoletki z szafiru: wachlarz chiński, rękawiczki białe.

Rycina 671. przedstawia: 1) Spodem suknia jedwabna różowa, po wierzchu cztery falbany z koronki angielskiej, z takiejże koronki jest także i mantyla zarzucona na stanik wygorsowany, z krótkiemi rękawami. Mantyla taka uzupełnia ubior pani domu. Ubranie głowy z róż i zielonych liści; branzoletki rzezane, rękawiczki skórkowe. 2) Na białej atłasowej, suknia z białego tiulu illusion, spodnica o trzech tunikach, z których każda obszyta jest bufkami, każda z bukietem czerwonych fuksji, takież same kwiaty na rękawach, stanik spiczasty marszczony. Ubranie na głowie z czerwonych fuksji, branzoletki rubinowe, wachlarz *renaissance*, rękawiczki skórkowe. 3) Ubiór małego chłopczyka. Bluza aksamitna barwy chińsko-niebieskiej, obszyta gronostajami, kołnierzyk, rękawki i pantalony z batystu haftowanego, ciżemki aksamitne z lakierowanemi szpicami. Na głowie czapeczka z takiegoż samego aksamitu, z ładnem białem, fryzowanem piórem.

Na arkuszu wzorów przedstawiona jest forma płaszczyka damskiego. Płaszczyk ten ma być z aksamitu, z mory lub też z kazimirku. Jeżeli jest aksamitny, obszywa się potrzebami szmuklerskiemi, jeżeli z mory dobrze się wydają szerokie taśmy aksamitne, jeżeli nareszcie z kazimirku najlepsze są taśmy szmuklerskie. Na odwrotnej stronie są umieszczone rozmaite wzory do haftów.

**Przyjechali** od dnia 1. do 4. Lutego do Lwowa.

Hr. Stadnicki Jan z Kakowa. Hr. Borkowski Edw. z Dubiecka. Pietruski Okt. i Szemelowski Teod. ze Sambora. Hr. Krasicki Al. z Dubiecka. Zawadzki Nik. i Hićkiewicz Wal. z Tarnopola. Hr. Jabłonowski Ludw. z Nastassowa. Torosiewicz Emil ze Szweykowa. Tustanowski Wład. z Żurawnik. Kislinger Fr. z Dobrotowa. Papa-Henr. z Zubowychmostów. Cieński Ludom. z Horodenki, Matłachowski Józ. z Brodów.

PP. Dzierzkowski Adam z Sidorowa. Wolański Fran. z Rzepniowa. Stojowski Stan. z Dombrowy. Bartmański Józ. z Tadania. Bartmański Fel. z Tadania. Kozłowski Zyg. z Cieszyna. Pożakowski Hier. z Ustjanowa. Sękowski Stan. z Jarosławia. Hr. Dieduszycki Kaź. z Niesłuchowa. Grochowalski Karol, z Tucznego.

PP. Januszewski Stan. z Ubinia. Janiszewski Adalb. z Dobromila. Kruszewski Henr. z Chorobrowa. Przełuski Adalb. z Szczepanowa. Zadurowicz Grzeg. z Czerniowiec. Górski Wic. z Lipicy. Karczewski Mich. z Bieniawy. Witosławski Wic. z Zędowic. Wartarasiewicz Mar. ze Złoczowa.

**Wyjechali** od dnia 1. do 4. Lutego ze Lwowa.

PP. Kędzierski Jul. do Meryszczowa. Dr. Wszelaczyński i Dr. Reyzner do Tarnopola. Bal Ant. do Grochowic. Podlewski Alex. Daszawy.

PP. Sozańscy Fr. i Wic. do Białoskórki. do Brzeżan. Mołodecki do Brodów. Lityński Jan, do Newistki. Żurakowski Aug. do Żółkwi. Kielanowski Tyt. do Żelechowa, Wojnarowski Ant. do Dublan. Bal Ant. do Grochowiec. Hr. Łoś Jan do Dmytrowic. Zieliński Józ. do Krakowa. Zarzycki Tyt. do Chotylub. Żabiński Józef do Podhajec.

Hr. Starzeński Leop. do Żelechówki. PP. Zachałka Konst. do Biłki. Sękowski Alex. do Gaj. Stojowski, do Tarnowa. Lewicki Józ. do Bonowa.

**Kurs telegrafowany z Wiednia 5. b. m. o g. 2. popołud.**

| | | | |
|---|---|---|---|
| Augsburg za 100 złr. . | 106¾ | Pożyczka 5% | 84⅞ |
| Hamburg za 100 tal. banco | 77¾ | Akcye banku . . . . | 1040 |
| Londyn za 1 funt szterl., | 10.24 | Kolej północna . . . . | 2427 |
| Medyolan za 300 lirów | 107 | Obl. ind. . . . . . . | 77½ |
| Paryż za 300 franków . | 124 | Nowa pożyczka z loteryą | 105⅛ |
| Agio duk. ces. . . . . | 11½ | Pożyczka narodowa . . | 86⅞ |

Wczorajszy **Kurs Lwowski**

| | | Gotówką | | | towarem | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|
| Dukat holenderski . . . . . . . . . . | złr. 4 | kr. | 57 | złr. | 5 | kr | 3 |
| Dukat cesarski . . . . . . . . . . | « 4 | „ | 58 | „ | 5 | « | 4 |
| Półimperyał zł. rosyjski . . . . . . . . | « 8 | „ | 33 | „ | 8 | „ | 40 |
| Rubel papierowy . . . . . . . . . . | „ 1 | « | 35 | „ | 1 | „ | 36 |
| Rubel srebrny rosyjski . . . . . . . . | „ 1 | « | 39 | « | 1 | „ | 40 |
| Talar pruski . . . . . . . . . . . | „ 1 | « | 33 | „ | 1 | « | 36 |
| Polski kurant i pięciozłotówka . . . . . | „ 1 | « | 12 | „ | 1 | „ | 13 |
| Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu | „ 88 | « | 45 | „ | 89 | „ | 15 |
| Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu | 75 | „ | 30 | „ | 76 | « | 30 |
| 5 proc. pożyczka narodowa . . . . . . . . | 85 | „ | 30 | „ | 86 | „ | — |
| Śrebro . . . . . . . . . . . . . . | 107 | « | — | „ | 108 | „ | — |




Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**